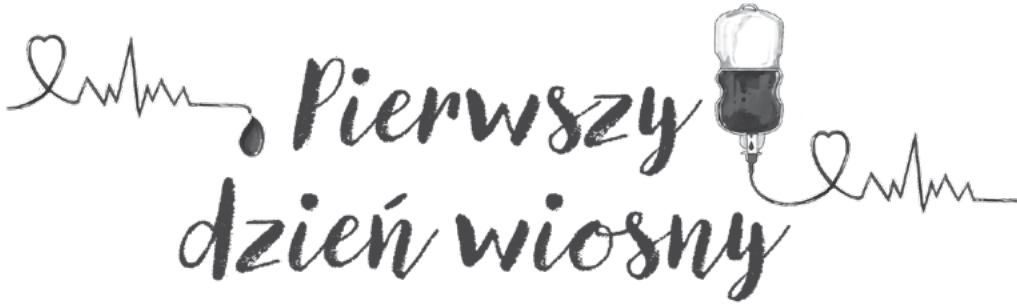


Regina Golińska-Barancewicz

Pierwszy
dzień wiosny



*Siostram i Braciom
chorych Wojowników.
Równie ważnym jak Oni.*

Regina Golińska-Barancewicz

Pierwszy dzień wiosny

© by Regina Golińska-Barancewicz

© by Wydawnictwo Literatura

Projekt okładki: Paulina Radomska-Skierkowska

Skład i korekta: Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

Wydanie I, Łódź 2025

ISBN 978-83-8208-334-7

Wydawnictwo Literatura



91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wydawnictwoliteratura.pl
tel. (42) 630-23-81
www.wydawnictwoliteratura.pl

*Każdy ma taki moment, który sprawia, że jego życie pęka,
dzieląc się na dwie części.*

Moment, który stwarza Przed i Po.

Może to coś wspaniałego. Może to coś tragicznego.

I jestem pewna, że to jest mój moment.

*Wszystko, co zdarzyło się Przed tą chwilą, wydaje mi się
teraz inne, i nie mam pojęcia, co się stanie Po niej.*

Taylor Jenkins Reid *Jedynie prawdziwe miłości*

Marzec

Natalia

W tamtym roku pierwszy dzień wiosny wypadł w sobotę i był jednocześnie ostatnim dniem życia, które znałam.

Kiedy rano wypatrywałam śladów błękitu na ołowianym, jeszcze zimowym niebie, do głowy mi nawet nie przyszło, że właśnie dziś sprawny, dobrze naoliwiony mechanizm życia naszej rodziny zatrzyma się ze zgrzytem w miejscu i na jakiś czas tak pozostanie. Potem ruszy ociężale dalej, ale nigdy nie będzie już taki sam. Żadne z naszej szóstki nie będzie takie samo.

Dotąd nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak krucha i cienka linia oddziela nas wszystkich od nieszczęścia, chorób, wypadków. W jakiś przedziwny sposób zawsze uważałam, że złe rzeczy przydarzają się innym ludziom, nas nie dotyczą. Pewnie dlatego kiedy mama powiedziała, że na rowery pójdziemy trochę później, bo rano musi jeszcze podskoczyć z Agnieszką do laboratorium, zrobić wreszcie te badania, nie miałam żadnych złych przeczuć. Byłam tylko niezadowolona, że nasz rytuał początku wiosny ulega zmianom.

Mieliśmy dużo rodzinnych tradycji, a ta rozpoczynająca wiosnę była jedną z moich ulubionych. Jechaliśmy wtedy na

pierwszą po zimie, długą rowerową wyprawę. Mama, tata, ja i Marcin – nasz najstarszy brat – na swoich rowerach, a dwie młodsze siostry – Agnieszka i Lidka – w przyczepce z tatą. Tak, byliśmy dużą rodziną i to było fajne. Lubiłam się wszystkim chwalić, że mam troje rodzeństwa, i już było mi smutno na myśl o wyjeździe Marcina. Bo dla każdego z nas ten rok miał być ważny – Marcin zdawał maturę i planował studia w Gdyni, ja kończyłam trzecią klasę szkoły podstawowej, Agnieszka zaczynała pierwszą, mama wracała do pracy, a Lidka szła do przedszkola.

Najbardziej podekscytowane życiową zmianą były mama i Agnieszka. Mama po siedmiu latach pełnoetatowego wychowywania nas i pilnowania domowego ogniska wyglądała na troszeczkę zmęczoną i powrót za biurko księgowej w nadleśnictwie był dla niej czystą radością. Agnieszka już teraz, w marcu, miała gotowe: plecak (babcia nazywała go uparcie tornistrem), piórniki, komplet książek i specjalny kalendarz z datami do końca sierpnia, w którym każdego wieczoru uroczyście skreślała kolejny dzień, jaki zbliżał ją do upragnionego pójścia do szkoły. Codziennie przymierzała plecak, przekładała kredki w piórniku, przeglądała książki i czytała pierwsze wyrazy.

– Jeszcze ci się znudzi – mówił ze śmiechem Marcin.

Nasz najstarszy brat po dwunastu latach w szkole, którą nazywał zawsze systemem albo placówką oświatową, był mniej więcej tak samo żywo zainteresowany skończeniem jej jak mama pożegnaniem się z długim urlopem wychowawczym.

Ale na razie był jeszcze marzec i czekało nas rytualne rowerowe powitanie wiosny. Każdego roku jeździliśmy nad inne jezioro, gdzie robiliśmy piknik z ogniskiem. Bez względu na

pogodę, i to było zabawne, bo czasem jeszcze leżał śnieg. Ale tata zawsze mówił, że nie ma złej pogody, tylko nieodpowiednie ubranie, a tradycje cementują rodzinne więzi.

Nasze więzi były scementowane na mur-beton. Tak przynajmniej uważałam, zanim nie zostały poddane próbie ognia.

Może gdyby człowiek wiedział wcześniej, że się coś złego przydarzy, doceniałby te ostatnie chwile zwyczajnej codzienności? Te, które na pewno zostałyby zapomniane, gdyby nie to, co wydarzyło się tuż potem. Dla mnie były one wtedy jeszcze czymś oczywistym, danym raz na zawsze, ale później często przypominałam sobie ten poranek... Zapach jajecznicy, mamę śpiewającą Lidce o śniadanku baranka, Marcina negocjującego z tatą godzinę powrotu do domu, trele Dziobaka – naszego kanarka, który usiłował zagłuszyć radio i mamę z jej barankiem. A potem wszystko było już źle.

Mama z Agnieszką pojechały do poradni, zostawiając nam robienie kanapek i herbaty na drogę oraz ogólne przygotowania do wyprawy. Do głowy nikomu nie przyszło, że w wynikach badań Agnieszki coś może być nie tak. Owszem, ostatnio ciągle była zmęczona, senna, bolały ją nogi i głowa, najchętniej cały dzień leżałaby na kanapie, przytulając swój szkolny plecak, ale nasza pani doktor powiedziała, że to pewnie przedwiosenne osłabienie. Zapisała jej witaminy, a kiedy zobaczyła kilka drobnych siniaków na rękach, zleciła jeszcze badania krwi „tak na wszelki wypadek”.

Wróciły bardzo szybko i z dumą opowiadały, jak wszystko poszło im sprawnie i bez płaczu, chociaż moja siostra panicznie się boi igieł i mama spodziewała się pewnych problemów.

– Następna igła najprędzej za rok! – pocieszył Agnieszkę Marcin, oglądając z uwagą jej najnowszą nalepkę „Dzielny Pacjent” ozdobioną misiem z kwaśnym uśmiechem.

Jak bardzo się mylił, przekonaliśmy się już po godzinie. Zadzwoiła pani Kasia z laboratorium.

Nasze miasto jest małe, wszyscy się mniej lub bardziej znają, a z panią Kasią mama chodziła do szkoły. Teraz rozmawiała z nią przez telefon i nawijała włosy na palec, co zawsze jest oznaką maminego zdenerwowania.

– WBC ponad dwieście tysięcy? – powtórzyła. – Jak dwieście? Przecież to niemożliwe! No właśnie, na pewno pomyłka. Dobrze, powtórzymy w poniedziałek... Dlaczego już dzisiaj?

Słuchała przez chwilę, potem pokiwała głową i powiedziała:

– Zaraz przyjedziemy, dziękuję, Kasiu.

– Co to jest WBC? – chciałam wiedzieć. Lubię wiedzieć. Tak już mam.

– Białe ciała krwi, inaczej leukocyty – powiedziała mama, ale widziałam, że myśli o czymś innym.

– Dobrze mieć ich dużo? – upewniłam się.

– Ale nie za dużo. Wystarczy dziesięć tysięcy. – Mama zaębniła palcami w stół i spojrzała na tatę. – To pomyłka, prawda? Zwykły błąd laboratorium. Przecież się zdarzają?

– Jasne – przytaknął tata, przytulając Agnieszkę. – Czy ona wygląda na chorą? No, blada trochę, ale na przedwiośniu to normalne. Dostanie witaminy, więcej warzyw i mięsa, trochę słońca i będzie dobrze. Jak się czujesz, Agusia?

– Dooobrze... – powiedziała moja siostra, ale jakoś tak bez przekonania. – Nogi mnie tylko bardziej bołą.

– Biegasz cały dzień, to cię bołą – zaśmiał się tata, ale nikt mu nie zawtórował.

W pokoju zapadła cisza. Nawet kanarek przestał się wydierać. Chyba w tym właśnie momencie każdy z nas uświadomił sobie, że już dawno nie widzieliśmy Agnieszki biegnącej. I rzeczywiście była blada jak papier.

– No dobra – powiedział w końcu tata. – Nie ma się co martwić na zapas, powtórzmy badania i okaże się, że wszystko jest w porządku. Jedź z nią do szpitala, ja zostanę z dziećciakami, sprawdzimy rowery przed drogą. Wracajcie szybko, dziewczyny. Wiosna na nas czeka.

– Tak szybko to nie wrócimy – westchnęła mama. – Kasia mówiła, żeby podjechać od razu do wojewódzkiego, nie do nas.

Tata zmarszczył brwi.

– Co jest nie tak z naszym szpitalem? Po co ją ciągnąć dziewięćdziesiąt kilometrów?

– W wojewódzkim jest hematologia dziecięca. – Mama dalej zawzięcie nawijała włosy na palec i patrzyła wyłącznie na blat stołu. – Lepiej skonsultować tam nowe wyniki.

– Co to hematologia? – chciałam natychmiast wiedzieć.

– Taki oddział, gdzie się leczy choroby krwi. – Marcin wyręczył mamę.

– To krew może być chora? – Lidka najwyraźniej już dawno porzuciła śledzenie działań *Psiego Patrolu*, skoro tak merytorycznie wtrącała się do rozmowy.

– Wszystko może być chore, krew też – wyjaśnił tata. – A szpitale są po to, żeby tam wszystko wyleczyć.

– Ale Agę bołą nogi, a nie krew – drażyła nasza czterolatka.

– Bo krew ma zdrową! Te wyniki to pomyłka! – Mama podniosła głos, co bardzo rzadko się zdarzało, i wszyscy spojrzeliśmy na nią ze zdziwieniem.

– Będzie dobrze. – Tata jedną ręką przytulił mamę, a drugą zdeorientowaną Lidkę. – Jedźcie już. Jak wrócicie, rowery, prowiant i my będziemy gotowi. Agnieszka i tak będzie przecież w przyczepce, więc się nie zmęczy.

– Mogę jechać z wami? – poprosiłam.

– Nie, absolutnie! Co za dziwny pomysł! – Mama najwyraźniej nadal była w złym humorze. Normalnie odmówiłaby jakoś milej. – Zajmij się Lidką, wyłącz jej ten telewizor, tak bardziej pomożesz.

– To pożyczę Agnieszce coś na szczęście. – Pobiegnę do pokoju i wróciłam z moją ukochaną pluszową gąsienicą. – Tylko wróć do wieczora, bo ja muszę z nią spać.

– A niby po co miałybyśmy tam zostawać aż do wieczora? Powiedzą, że to pomyłka, i wracamy! – Mama kolejny raz powtarzała ten tekst o pomyłce jak jakieś magiczne zaklęcie. – A ten pluszak jest za duży. – Skrzywiła się, ale Agnieszka już przytulała maskotkę, więc machnęła ręką. – Dobrze, chodźmy już.

Kiedy wychodziły w ten wczesnowiosenny poranek, nie miałam jeszcze pojęcia, że nie dostanę mojej gąsienicy nie tylko tego wieczoru, ale i przez wiele następnych, a kolejny raz siostrę w domu zobaczę dopiero pod koniec lata.

* * *

Kanapki były gotowe, herbata czekała w termosach, rowery przed domem, a mamy i Agnieszki nadal nie było. Lidka już

chyba od godziny siedziała na schodach w kasku na głowie i bez końca zadawała to samo irytujące pytanie: „No, jedzieemy?”, kiedy telefon taty zawibrował na kuchennym stole i rozmigotał się imieniem mamy.

– Mamo, wracacie? – zapytałam. – Bo Lidce już odbija z nudów.

– Zawołaj tatę – powiedziała mama, ale jej głos był tak dziwny, że aż nie do poznania. Jakby miała okropny katar albo chore gardło.

Pobiegnęłam z telefonem do garażu. Tata podśpiewywał coś o skowronkach i grzebał pod maską samochodu. Wytarł ręce w szmatkę i wziął ode mnie telefon.

– No jak tam? – rzucił pogodnie. – Wyjaśniło się?

Zaraz potem przestał się uśmiechać, usiadł na brudnej garażowej podłodze i długo milczał. Dobrze było po nim widać, że nawet jeśli się coś wyjaśniło, to nie tak, jak byśmy chcieli.

– Nie płacz – powiedział wreszcie, a ja zastygłam w pierwszym przeblysku strachu. – Spokojnie. Przecież to się leczy. Już wyjeżdżam, Marcin zostanie z dziewczynkami. Co wam przywieźć?

Słuchał przez chwilę, potem się rozłączył i spojrzał na mnie.

– Możesz spakować trochę rzeczy Agnieszki? – poprosił. – Piżamę, ręcznik, coś do mycia, klapki jakieś... i książkę. Teraz czytają z mamą *Dzieci z Bullerbyn*.

– To ona zostaje w szpitalu? – zapytałam cicho.

– Tak, trzeba zrobić jeszcze trochę innych badań. – Twarz taty wydawała się teraz zupełnie szara w przyćmionym garażowym świetle.

– Jest chora? Na co?

– Tego jeszcze nie wiemy, okaże się po badaniach, nie martw się na zapas. – Próbował się uśmiechnąć, ale kompletnie mu to nie wychodziło. – Idź po rzeczy, Natałko, bo ja muszę zaraz jechać.

Pakowałam torbę siostry i ciągle miałam dziwne uczucie, że to się nie dzieje naprawdę. Choroby w naszej rodzinie to były głównie nasze przedszkolne katary i zapalenia gardła, no i raz ospa. A Agnieszka to już w ogóle prawie nigdy nie chorowała. Tata się śmiał, że to dlatego, że ona bardzo się boi wszystkich medycznych zabiegów, więc jej organizm się dostosował, żeby nie stresować właścicielki. Nawet uszu nie chciała dać sobie przekłuć, chociaż w jej zerówkowej grupie panował szal na kolczyki. Każde szczepienie było dla niej wielkim przeżyciem i próbą odwagi. A teraz miałyby leżeć w szpitalu? Akurat ona?

– To niesprawiedliwe! – zawołałam do Marcina. – Dlaczego to Agnieszka ma być chora? To głupie! Okropne!

– Ale po co tak dramatyzujesz? – obruszył się Marcin. – Na razie wiemy tylko, że muszą ją dokładniej zbadać, za parę dni wróci do domu i będziecie się mogły kłócić dalej. Tak jak lubicie.

Przytuliłam do siebie piżamę siostry w wozy strażackie. Aga od zawsze twierdziła, że będzie strażaczką, uwielbiała wszystko, co było z tym związane, a ja lubiłam ją drażnić, że z tym strachem przed igłami jest za mało odważna na taki zawód. Oni przecież nie mogą się bać niczego.

– Jak wróci, to już nie będę jej nigdy dokuczać – wygłosiłam deklarację i dołożyłam do torby ulubioną książkę Agnieszki *Czy ogień boi się strażaka?*

– Będziesz, będziesz. – Marcin machnął ręką. – A ona tobie. Normalne. A na razie masz się słuchać mnie, bo chwilowo zostajemy sami.

Okazało się jednak, że to „chwilowo” potrwało cały dzień. Lidka już dawno spała, a ja leżałam w łóżku, kiedy tata wrócił ze szpitala. Sam.

Usiadł przy kuchennym stole w kurtce i w butach, oparł głowę na dłoniach. Marcin dołączył do niego.

– Tato? No i co? Co jej jest?

– Lekarze mówią, że Agnieszka może mieć białaczkę – odparł tata, nie podnosząc głowy.

I to był właśnie ten moment, w którym życie naszej rodziny zatrzymało się z przeraźliwym zgrzytem i zostało tak w ogłuszającej ciszy.

Agnieszka

Nigdy jeszcze nie byłam w szpitalu, nawet by kogoś odwiedzić. A teraz sama tu leżę. To jest takie dziwne, że wydaje mi się, że to sen. Tyle razy już pytałam, co mi jest, i nikt mi nic nie mówi. To znaczy mówią – pani doktor, że jestem chora (no raczej, to chyba oczywiste, ale NA CO?), pielęgniarki, żebym się nie martwiła, bo za oknem słońce, a ja jestem śliczna i wszystko będzie dobrze, a mamę to już przestałam pytać, bo ona od razu płacze i to mnie przeraża. Zaraz myślę, że to musi być jakaś straszna choroba, bo serio, nigdy w życiu nie widziałam mamy płaczącej. Więc ja nie pytam, mama udaje, że